

WYJAZD DO BRIAŃSKA

Czołgi? Tylko w muzeum. Z niedźwiedziem też nikt po ulicach nie spacerował. Najbardziej w pamięć zapadają niesamowicie gościnni i otwarci ludzie, kapiące złotem cerkwie i pociąg, w którym można zarówno spać, jak i spaść – z łóżka. Moi drodzy, witajcie w Rosji!



Do Briańska wyruszyliśmy 12 września w sile siedmiu kobiet – trzy studentki lingwistyki, trzy studentki rusycystyki i czuwająca nad nami dr Agnieszka Potyrańska. Najpierw dosłownie rozpuszczaliśmy się z gorąca w busie Lublin-Biała Podlaska, którego klimatyzacja polegała na.... uchylonym dachu. Później już duży, wygodny autokar – cały dla nas! – przewiózł nas przez granicę polsko-białoruską do Brześcia, gdzie wsiadaliśmy do wagonu typu placartka. To był nasz pierwszy kontakt z rosyjskim pociągami i niezapomniane doświadczenie. Mnie przypadło miejsce do spania na górze. Samo wdrapanie się tam było sporym wyzwaniem. Kolejną misją było nie spać. O nie, wcale nie przesadzam. Moje obawy naprawdę nie były takie bezpodstawne – około trzeciej w nocy usłyszałyśmy donośny huk, a potem utyskiwania jednej z babuszek, że to już kolejny człowiek spada z łóżka w ciągu tej podróży. Nie wiem, jak udało mi

się zasnąć po tym zdarzeniu. Koniec końców, dojechałyśmy na miejsce następnego dnia, czyli 13 września, krótko przed czternastą czasu moskiewskiego. Żadna z nas nie spadła. :)

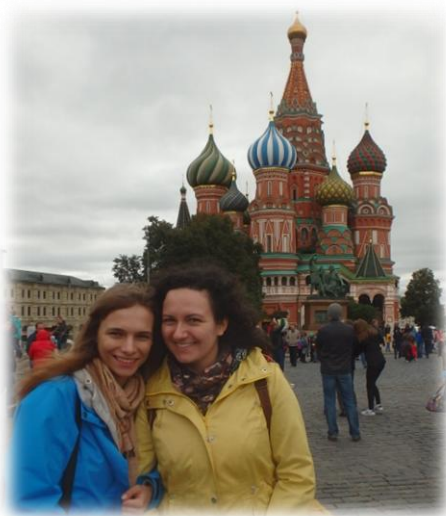
Briańsk powitał nas słońcem i uśmiechniętą panią Jeleną z tamtejszego uniwersytetu. Popatrzyłam na jej nieskazitelną makijaż, fryzurę i elegancką sukienkę. Potem zerknęłam krytycznie na siebie, wymiętą i wygniecioną po trwającej ponad dobę podróży. Zdecydowane 1:0 dla pani Jeleny. Właściwie większość Rosjanek jest tak zadbanych, jak ona. Po nas od razu było widać, że przyjechałyśmy w celach turystycznych – tylko my nosiłyśmy sportowe kurtki i adidas. Nasze rówieśniczki z Uniwersytetu Briańskiego chodziły na ogół w szpilkach i skórzanych kurteczkach – nawet gdy temperatura spadała do dziesięciu stopni.



Pani Jelena zaprowadziła nas do akademika i przez cały pobyt bardzo dbała, żeby niczego nam nie brakowało. Troszczyli się o nas również doktoranci historii, Pasza i Kiril. To oni pomogli nam kupić rosyjskie karty do telefonów, organizowali wieczorne wyjścia do pubu i wyjaśniali wszelkie zagadki i niejasności rosyjskiej kultury. Znalazł się też czas na kawę z Olą, która uczy w Briańsku języka polskiego, i wyjście do kina ze studentką Nastią na rosyjską komedię.

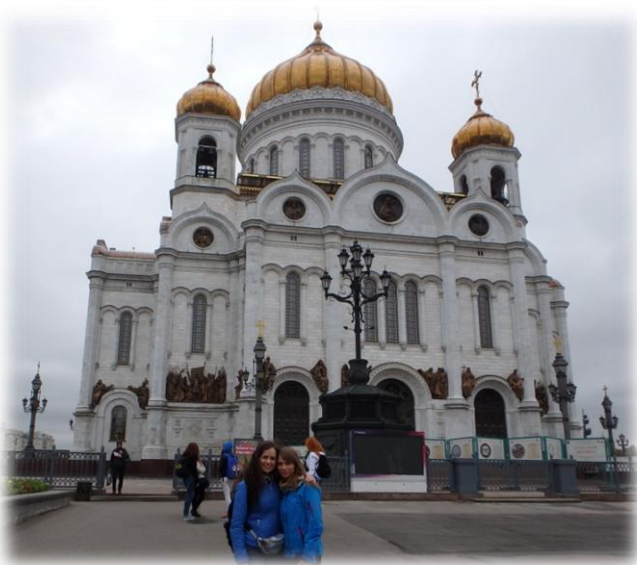
Z wielu wycieczek najlepiej zapamiętałyśmy wizytę w muzeum poświęconym Fiodorowi Tiutczewowi. Mieści się ono w domu poety, położonym w malowniczym parku. Pani przewodnik była istnym wcieleniem elegancji i ciepła, a o życiu artysty opowiadała z taką pasją, jakby to była treść jej ulubionej książki. I rzeczywiście, barwny życiorys twórcy nadawałby się na fabułę dobrego romansu! A pani przewodnik z wprawą ubarwiała jeszcze swoją opowieść recytacją całych wierszy. Chodziłyśmy za nią, zaszuchane i zachwycone.

– Kupię tomik z jego poezją w oryginale – oznajmiła mi szeptem Klaudia. Uśmiechnęłam się. Miałam identyczny pomysł. Zrealizowałyśmy go obie w Moskwie. Jak się tam znalazłyśmy? O, to był szalony weekend. W sobotę o morderczej siódmej rano siedziałyśmy zaspane w autokarze. Najpierw trzygodzinna podróż i zwiedzanie Katynia,



potem przejazd do przepięknego Smoleńska i dosłownie maraton po jego licznych parkach i pomnikach. Powrót do Briańska około dziewiątej wieczorem i... trzy godziny na ogarnięcie się i dotarcie na dworzec. Pociąg Briańsk-Moskwa odjeżdżał o północy. W stolicy byłyśmy krótko po szóstej. Niewyspane i zziębnięte, ruszyłyśmy pustymi ulicami w poszukiwaniu kawy. Sprawa wcale nie była prosta – po pierwsze, w Rosji na każdym kroku mija się kwiaciarnie i dużo łatwiej tam o różę niż dawkę kofeiny, a po drugie, jak już znalazłyśmy jakąś kawiarnię, ze względu na nieludzką wczesną porę była zamknięta.

Musiałymy się zadowolić McDonaldem i, nieco rozbudzone, rozpoczęłyśmy zwiedzanie. Sama nie wiem, co zrobiło na mnie największe wrażenie. Czy były to stacje metra



przypominające sale w pałacu i oświetlone lampami ruchome schody, trzy razy dłuższe od tych, które znałam z Polski? A może majestatyczny sobór Chrystusa Zbawiciela ze złotymi kopułami nad rzeką Moskwą? Teatr Bolszoi, którego rozmiary odpowiadają nazwie (*bolszoi* to po rosyjsku „duży”), ogromny Plac Czerwony z bajkowym soborem Wasyla Błogosławionego, który wszyscy znają z podręczników do rosyjskiego, zabytkowe katedry, udekorowany kwiatami Arbat... Nie zdecyduję, co podobało mi się najbardziej. Uwagę przyciągały również

stragany z mnóstwem pamiątek. Niektóre były nawet nieco kontrowersyjne – ot, choćby kalendarz z dwunastoma wizerunkami Stalina, po jednym na każdy miesiąc. Naszym

faworytem został jednak kubek z Putinem ujeżdżającym niedźwiedzia. Podobno herbata z niego smakuje naprawdę pierwszorzędnie.



Największym szokiem kulturowym okazała się dla nas kuchnia rosyjska. Jej podstawą jest kasza i śmietana oraz zaskakujące połączenia, takie jak wątróbka plus słodki kisiel do picia na kolację. Standardowym śniadaniem była parówka z makaronem. Na początku patrzyłyśmy na nią nieufnie, jakby to był konkurs, kto kogo pożre pierwszy – my parówkę, czy ona nas. Po kilku dniach jednak oznajmiłam:

– Wiecie co? Jakoś mi to dzisiaj smakuje... Chyba paniom wyszło.

Dziewczyny spojrzały na mnie z niedowierzaniem.

– Przyzwyczajasz się – orzekły jednogłośnie.

Do wielu rzeczy można się tam było przyzwyczaić. Na przykład do krzyczących o wszystko babuszek.

– A czego pomidorów nie zjedli? – wołała zawsze taka jedna w okienku na stołówce.

– No bo tak... za dużo. Nie dałyśmy rady.

– Za dużo, za dużo... – gderała, machając ścierką.

– A możemy jutro przyjść na śniadanie, chociaż nie jesteśmy liczone?

– A przyjdźcie, pewnie! Będzie co zjeść, przyjdźcie! – zapraszała nas z iście babciną serdecznością, a my zapomniałyśmy, że złościła się o te pomidory.

Rosjanie są bardzo otwarci i gościnni. Czasami ich bezpośredniość może naprawdę zaskoczyć. Zwrócenie się do młodej, zupełnie obcej kobiety per *diewuszka*, czyli po naszymu „dziewczyno”, uchodzi za coś zupełnie normalnego! I to nie tylko wtedy, gdy starsza pani woła w ten sposób młodszą od siebie osobę, ale również wtedy, kiedy nasza koleżanka,

rosyjska studentka, zwracała się do starszej od siebie o kilka lat, ale nadal młodej sprzedawczynie lodów.

Za to rosyjscy mężczyźni to skończeni dżentelmeni. Kobieta może się przy nich poczuć jak księżniczka. Na przykład ostatniego dnia pobytu nasi doktoranci zorganizowali nam wycieczkę-niespodziankę po Briańsku. Bardzo ciekawie opowiadali o pomnikach i miejscach historycznych w swoim mieście, a na koniec zabrali nas do fundowanego przez ich uniwersytet muzeum, gdzie w sali stylizowanej na wnętrze pałacu podali nam herbatę i ciasto. Czułam się bardzo nie na miejscu w T-shircie i adidasach!

– A dlaczego u was jest tyle kwaciarni? – zapytałam ich raz, zaciekawiona. Wymienili zdziwione spojrzenia.

– No... bo przecież kobiety lubią dostawać kwiaty, prawda?

– No... no tak, ale... – dukałam, trochę zbita z tropu.

– U was tak nie ma?

– Aż tyle kwaciarni, co u was, to nie ma.

– To nie dają wam kwiatów? – zdumieli się obaj.

Cóż... lekcja dla Polaków: kobiety lubią dostawać kwiaty, panowie! ;)

Gdy siedziałyśmy już w pociągu powrotnym, Pani Doktor powiedziała:

– Coś w tej Rosji takiego jest, że albo się ją kocha, albo nienawidzi.

Ja się zakochałam. W kulturze, w ludziach, w pięknych cerkwiach, nawet w babuszkach ze stołówek. :) Czy było mi żal wracać? Bardzo. Czy wrócę? Na pewno.



Tekst: Iga Ziembicka
Zdjęcia: Klaudia Jasińska, Anna Węgrzyn